

Tytuł oryginału angielskiego

Esther the Wonder Pig: Changing the World One Heart at a Time

Copyright © 2016 by ETWP, Inc.

All photos courtesy of the authors.

This edition published by arrangement with Grand Central Publishing, New York, New York, USA. All rights reserved.

© Copyright for the Polish edition by
Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2017

© Copyright for the Polish translation by
Magdalena Korobkiewicz, 2017

Jacket design by Elizabeth Turner

Jacket © 2016 Hachette Book Group, Inc.

Front cover photo © Steve Jenkins and Derek Walter

Steve and Derek photo © JoAnne McArthur

STEVE JENKINS i DEREK WALTER
z CAPRICE CRANE

ESTHER THE WONDER PIG

CZYLI JAK DWÓCH FACETÓW POKOCHAŁO ŚWINIĘ

Prawdziwa historia
najstynniejszej
świnki na świecie

Przełożyła
Magdalena Korobkiewicz

Nasza Księgarnia

Od początku wiedziałem, że Derek pokocha Esther. Ma gadane, ale tak naprawdę mięczak z niego. No i dajcie spokój, kto by nie pokochał Esther? Takiej kilogramowej kruszyny o wspaniałej osobowości? Całe szczęście, że była świnką miniaturką i nie mogła urosnąć.

Przynajmniej tak nam się zdawało. Rany, ale byliśmy naiwni.

Dobra, ja byłem naiwny.

W sumie jednak to lepiej, że nie zdawaliśmy sobie z niczego sprawy. Raczej byśmy nie zatrzymali Esther, gdybyśmy wiedzieli, co nas czeka. Poza wszystkim: podjęliśmy się opieki nad prosiątkiem, chociaż nie mieliśmy o tym zielonego pojęcia. Raczej nie traficie w lokalnej księgarni na poradnik *Domowy chów trzody chlewnej dla opornych*, bo nic takiego nie istnieje. Co zrozumiałe. Trzymanie świnki to niełatwa sprawa – nie sposób tego porównać z dogładaniem innego zwierzaka czy nawet dziecka. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak trudno jest zabezpieczyć dom przed prosiakiem (świnie są dużo sprytniejsze, niż wam się wydaje) albo znaleźć opiekunkę na czas wyjazdu. Zwykle łatwo daje się kogoś namówić, by zaglądał do kota, a psa można zostawić w hotelu dla zwierząt. Nie ma jednak godnych pole-

czenia placówek dla świnek. No a o osobowości świń i ich huśtawce nastrojów mógłbym opowiadać godzinami (nie mówiąc już o świńskim zespole napięcia przedmiesiączkowego!).

Gdyby więc ktoś mnie uprzedził, jak poważne zmiany nas czekają, pewnie stanowczo bym odparł: „Mowy nie ma!”. Ale Esther nas oczarowała. Każdego dnia kochaliśmy ją bardziej, kiedy więc pojawiały się problemy, po prostu szukaliśmy rozwiązania (lub usprawiedliwienia dla rzeczy, których nie dawało się zmienić) i żyliśmy dalej. Świnka stała się członkiem rodziny.

Zabawne, jak zapadła ta decyzja. Któregoś wieczoru jedliśmy kolację i nagle Derek zaczął wybiegać w przyszłość dużo dalej niż zwykle: „Gdzie będzie się załatwiać? Czy powinniśmy jej zbudować chlewik?”. To wyglądało na poważne zobowiązanie. Ludzie nie budują chlewika dla zwierzaka, którego zamierzają się wkrótce pozbyć. Byłem przeschęśliwy. Już wiedziałem, że Derek zmiękł.

– Więc ją zatrzymamy? – zapytałem z głupawym uśmiechem, choć przecież znałem odpowiedź. Byłem w siódmym niebie.

* * *

Nawet kiedy jeszcze myśleliśmy, że Esther jest miniaturką, nasi bliscy byli zupełnie zdezorientowani. Rodzice Dereka z pewnym trudem przyjęli do wiadomości nasz związek, a teraz rodzina myśliwych i rolników miałaby się pogodzić z tym, że mieszkamy ze świnią? Jako domowym zwierzętkiem?

Myśleli, że oszaleliśmy. Świnie się jada! Świnie są brudne! (Tak naprawdę Esther wcale nie jest brudna, przeciwnie. Ślicznie pachnie!).

Próbowali uszanować naszą decyzję, ale kiepsko im to wychodziło. Mówili rzeczy w stylu: „Babcia wciąż nie wierzy, że masz świnie” albo: „Trzymasz świnie w domu? Dziadek przewraca się w grobie!”.

Przyznaję, na początku było mi trochę przykro. Życie jest dostatecznie skomplikowane i bez ciągłego zamartwiania się tym, czy rodzina akceptuje nasze poczynania. Ze wszystkich sił szukałem akceptacji rodziców Dereka, bo wiedziałem, że ich opinia wiele dla niego znaczy, cokolwiek by na ten temat mówił. Mnóstwo razy miałem ochotę z nim porozmawiać, zmusić go, by stanął w obronie naszego stylu życia i naszych decyzji. Ale tego nie zrobiłem. Rodzina Dereka przeszła bardzo długą drogę i pogodziła się już z wieloma rzeczami – na przykład z tym, że De-

rek jest gejem – więc po prostu przyjąłem, że teraz będzie potrzebować trochę więcej czasu. Poza tym to nie było wcale takie trudne – wziąć nas za nieszkodliwych wariatów. Pozwoliliśmy im mówić, co zechcą. Wiedzieliśmy, że kiedyś nas zrozumieją.

Rodzice Dereka byli (oczywiście) oszołomieni, tymczasem moja mama podeszła do sprawy na luzie. Całymi latami patrzyła, jak jej syn zakochuje się w każdym napotkanym zwierzątku, i prawie wcale się nie zdziwiła, że któregoś dnia wróciłem do domu ze świnką.

Mniej więcej w tym okresie Esther wreszcie poczuła się u nas jak w domu. Chciała się bawić i przytulać, turlać psie zabawki. A my nie widzieliśmy poza nią świata.

Jeśli nigdy nie mieliście świnki – a tak zapewne może powiedzieć większość z was – raczej tego nie rozumiecie. Te zwierzęta po prostu są bardzo uczuciowe, przyjazne i kochane, całkiem jak psy czy koty. (Szczerze mówiąc, bardziej niż niektóre koty).

Nigdy nie spotkałem człowieka, którego nie rozczuliłoby małe zwierzątko. U mnie ten syndrom jest jeszcze mocniejszy. Zawsze wyobrażałem sobie, że kiedyś będę miał dom pełen zwierząt – po dwa zwierzaki każdego gatunku. Chciałem je poznawać, głaskać, przebywać wśród nich. Ale nie zamierzam kłamać – Esther zafascynowała mnie szczególnie. Kiedy ją wzięliśmy, świnki rzadko były trzymane w domach. (Zresztą nawet teraz nie grozi im przeszcignięcie pod tym względem kotów i psów). Esther była dla mnie wyjątkowa – nigdy wcześniej nie miałem do czynienia ze świnką – i sama myśl o opiekowaniu się prosiaczką wydawała mi się rewelacją. Szczerze? Mogłem trafić na jakieś inne niezwykle zwierzę i moja reakcja byłaby taka sama. Na przykład zawsze marzyłem o małpce. Dałbym wszystko,

żeby mieć małąkę. Wcale nie wiedziałem, że pragnę mieć świnkę, ale kiedy ją wzięliśmy i upewniłem się, że zostanie, poczułem niesamowitą radość. Nie posiadałem się ze szczęścia.

Z Esther wszystko było inne i nowe. Obserwowaliśmy jej nawyki, sposób, w jaki truchta po domu, ślizgając się na małych raciczkach. Słuchaliśmy komicznych dźwięków, które wydawała podczas zabawy. Była naszym skarbem. Chrząkała i puszczała bąki dużo częściej niż psy, co już mniej nam się podobało, ale okropnie nas śmieszyło. Jeszcze pod jednym względem różniła się od reszty czworonogów moich i Dereka: wsuwała nos w nasze dłonie. To przynosiło jej ulgę i pomagało się uspokoić. Najwyraźniej czuła się bezpiecznie, mając nas tak blisko. Lizła nas po rękach i ocierała się ryjkiem, kiedy zasypiała. Czy można pozostać obojętnym na coś takiego? Była po prostu przeurocza.

Z każdym domowym zwierzakiem jest tak, że kiedy pierwszy raz wyda jakiś odgłos, zachowa się w określony sposób lub po prostu popatrzy wam w oczy, wychodząc ze skóry, żeby zrozumieć, o co mu chodzi. Chcecie odkryć, co to zwierzę – wasze zwierzę, członek waszej rodziny – myśli i czuje, bo wam na nim zależy. I chcecie też, aby

ono wiedziało, że jest ważne, że zrobicie dla niego wszystko, zupełnie jak dla reszty rodziny, dla osób, które się kocha.

Kiedy tylko otworzycie serce przed tym stworzeniem, zaczniecie otwierać również umysł na to, co próbuje wam powiedzieć. Szukacie ukrytych znaczeń w jego zachowaniu. Czy ten pisk był piskiem zachwytu, strachu, głodu czy zdumienia? Czy to przekrzywienie głowy sugeruje ciekawość, zaniepokojenie czy może niepewność? Czy ona da mi znać, kiedy źle się poczuje, i czy ja będę dość uważny, by to dostrzec?

Jednego na pewno się nie spodziewałem – że Esther z usposobienia będzie tak bardzo podobna do psów. Bawiła się jak one, chwytając zabawkę, potrząsając nią i tarmosząc z całej siły. Tak samo jak psy garnęła się do nas, kiedy była zmęczona, i włożyła na kolana, żeby się poprzytulać. Wtulała się w nasze dłonie, wysuwając koniuszek języka, i ocierała się łebkiem.

I tak samo jak psy często domagała się uwagi. Przepychała się, żeby otrzymać swoją porcję pieszczot. Jeśli skupialiśmy się na którymś z pozostałych zwierząt, ona też musiała tam być. Oczywiście nie umiała podkraść się do nas cicho jak kot, za bardzo rzucała się w oczy. Szczerze mówiąc, w ogóle nie po-

trafiła się ukrywać. (Świnia nie jest najlepszym kandydatem na wojownika ninja).

Trudno sobie wyobrazić, żeby czterdziestopięciokilowe prosię, stukające raciczkami po drewnianej podłodze, musiało dodatkowo przyciągać ludzką uwagę – tak na wszelki wypadek, bo może jednak zapomnieliśmy o jego istnieniu. Ale Esther tak właśnie robiła. I pewnie nie była w tym odosobniona.

Wreszcie coś zaczęło do nas docierać. Esther była dla mnie i Dereka kimś szczególnym, to prawda. Uwielbialiśmy ją. A jednak inne świnki też musiały być indywidualnościami. Świnie naprawdę mają różne dziwactwa i cechy charakteru, podobnie jak setki milionów psów na całym świecie. Nie zrobiliśmy nic, aby nasza świnka stała się właśnie taka, a nie inna. Nie uczyliśmy jej niczego specjalnego, po prostu intuicyjnie traktowaliśmy ją jak psa. Zaczęła się bawić, robić te wszystkie śmieszne i mądre rzeczy z własnej woli. Widzieliśmy błysk w jej oczach i tę charakterystyczną minkę, kiedy goniła za kotami albo szarpała psią zabawkę. Im częściej ją obserwowaliśmy wśród naszych zwierzaków, tym bardziej nam je przypominała. Nie fizycznie – osobowościowo. A to dało nam do myślenia.

* * *

Dlaczego świnie są traktowane inaczej? Dlaczego hoduje się je na mięso i trzyma w niewoli, podczas gdy psy i koty są naszymi domownikami, członkami rodziny? Pomijając wygląd, nie widzieliśmy żadnych różnic między Esther a psami. (No dobra, Esther nie machała ogonem. Ale gdyby jej go nie ucięto, pewnie merdałaby cały czas).

Dlaczego to świnie nie miały szczęścia? Czemu wcześniej nie zdawaliśmy sobie sprawy, że są tak interesujące i inteligentne? I gdzie byłaby teraz Esther, gdyby nie trafiła do naszego domu?

Przez ostatnie lata wiele rozmyślaliśmy nad podobnymi sprawami, wtedy jednak po prostu się cieszyliśmy, że mamy naszą słodką, kochaną, chrupkającą dziewczynkę. W epoce przed Esther niczego nam nie brakowało – Derekowi bardziej niż mnie, rzecz jasna – ale nie potrafiliśmy już sobie wyobrazić domu bez świnki. Stała się tak nieodłączną jego częścią jak fundamenty, ściany i grunt pod stopami.

Grunt, który wkrótce miał zostać przesikany na wylot. Naprawdę na wylot. Ale do tego jeszcze wrócimy.

ROZDZIAŁ TRZECI

To było chyba któregoś wieczoru pod koniec września. Mieliśmy Esther dopiero od kilku tygodni. Siedziałem przy komputerze, a Derek przyrządzał kolację. Zazwyczaj jedliśmy około siódmej. Włączałem sobie cicho telewizor, kiedy mój chłopak gotował, ale byłem blisko, przy stole w jadalni, i dotrzymywałem mu towarzystwa, gdy w tle coś leciało: *Kroniki Seinfelda* lub *Bobby kontra wapniaki*. Kuchnia była otwarta na jadalnię, oddzielona od niej blatem, lecz na wyciągnięcie ręki. Siedziałem w jadalni, a jednocześnie mogłem rozmawiać z Derekiem, wszystko widzieć, słyszeć i czuć woń przygotowywanej potrawy.

Jesień to gorący okres dla rynku nieruchomości, więc miałem sporo pracy – dużo załatwiania i podpisywania umów z nowymi klientami. Zimą natomiast wszystko nieuchronnie zwalnia. Derek, ze swoim świetnym wyczuciem stylu i designu, często mi pomagał. Wspólnie urządzaliśmy domy wystawione na sprzedaż i omawialiśmy wygląd folderów

reklamujących poszczególne nieruchomości. Także na tym polu tworzyliśmy zgrany zespół.

Tamtego konkretnego wieczoru jedliśmy śniadanie na kolację – coś, czego powinien od czasu do czasu spróbować każdy dorosły, po prostu dlatego, że może. Pracowałem akurat nad nowym folderem, Derek kręcił się przy kuchence, Esther plątała mu się pod nogami, niezmiernie ciekawa, co też on gotuje. (Zupełnie jak pies, mówiłem przecież). Od czasu do czasu zerkałem w ich stronę. Esther zawsze chrząkała, piszczała lub chrumkała, no i prawie machała ogonem, kiedy krzątaliśmy się po kuchni, bo chciała dostać coś do jedzenia. A my nie byliśmy zbyt konsekwentni – zdarzało się, że rzucaliśmy jej jakiś smaczny kąsek.

Tak to więc wyglądało. Derek zaczął układać obok siebie wszystko, czego potrzebowaliśmy – podpieczone bułeczki, ser, jajka i oczywiście... bekon.

Po tym jak Esther pojawiła się w naszym życiu, w żaden sposób nie zmieniliśmy nawyków żywieniowych. Wcinaliśmy burgery wołowe. Jedliśmy pizzę z pepperoni. Ale już od dłuższego czasu unikaliśmy bekonu. Nie podjęliśmy decyzji, po prostu tak się złożyło. Żaden szczególny powód nie przychodził nam do głowy.

A jednak tego wieczoru Derek smażył bekon.

I nagle przełączył mi się jakiś pstryczek w mózgu.

Przypomniałem sobie, jak weterynarz nazwał Esther świnią hodowlaną. To oznaczało, że jej jedynym przeznaczeniem było zostać zjedzoną przez ludzi. Taki właśnie los spotyka świnie. Nie ciągną sań w Jukonie ani bryczek w parku. Robi się z nich schabowe, golonkę, kielbaski i...

No właśnie.

Słyszałem skwierczenie bekonu na patelni. Płynął ku mnie dobrze znany aromat. Ten zapach, tak pociągający nie tylko dla mnie, lecz także, bądźmy szczerzy, dla wszystkich mięsożerców, nagle wydał mi się ohydny.

To zapach śmierci.

Popatrzyłem na Dereka, potem na uśmiechnięty ryjek Esther i dotarło do mnie, co widzę. Derek spoglądał to na kuchenkę, to na słodką, zadowoloną z życia, pochrumkującą Esther. Jestem pewien, że myślała coś w stylu: „Hej, tatuśku! Co tam pichcisz? Dla mnie też starczy?”.

O Jezu.

Co my robimy?

Kiedy człowiek je mięso każdego dnia (a przynajmniej prawie każdego), próbuje bronić przed sobą

tej decyzji. Ja przynajmniej tak robiłem – chociaż znam mnóstwo ludzi, którzy całkiem bezrefleksyjnie pochłaniają trzy mięsne posiłki dziennie. Słyszy się, że to może być szkodliwe, zwłaszcza gdy jemy mięsa zbyt dużo, ale życie w ogóle jest niebezpieczne, prawda?

„W jedzeniu zwierząt nie ma niczego złego” – myślicie sobie. Jak większość ludzi.

Samo pojawienie się prosiątka w naszym domu nie oznaczało dla mnie natychmiastowej zmiany jadłospisu. Nie stałem się automatycznie wegańskim superbohaterem, z pogardą patrzącym na mięsożerców. (Człowiekiem Jarmuzem, pokonującym całe pola kukurydzy jednym susem!).

Kiedy jednak zdałem sobie sprawę, że Esther miała skończyć jako czyjaś kolacja, niespodziewanie straciłem zdolność rozgraniczania tych dwóch rzeczy: jedzenia bekonu i trzymania świnki jako domowego zwierzątka. Gdybym teraz zjadł bekon, byłoby to tak, jakbym pożarł któregoś z naszych psów. Albo w ogóle jakiegokolwiek psa. Nagle doznałem czegoś w rodzaju olśnienia. Przypomniałem sobie psy biegające po podwórzu i siebie bawiącego się z nimi, a potem również malutką Esther, która chciała do nas dołączyć.

„Moment” – pomyślałem. Zerknąłem na Dereka, ciekaw, co dzieje się w jego głowie. Patrzył to na przyrządzany posiłek, to na Esther, tam i z powrotem. To była mocna scena. Cichutkie chrupkanie, powietrze przesycone zapachem... tym charakterystycznym zapachem smażonej wieprzowiny. Tutaj, w naszej kuchni.

W życiu nie zjadłbym psa. I nie mogłem już jeść bekonu.

Nawet się nie zawahałem. Wszedłem do kuchni i zwróciłem się do Dereka:

– Chyba tego nie zjem.

Poprosił, żebym powtórzył, a wtedy powiedziałem:

– Nie dam rady tego zjeść, nie mogę patrzeć na bekon. Robi mi się niedobrze.

Jego odpowiedź mnie zaskoczyła.

– Wiesz co? Mnie też.

To było niesamowite. Derek w ogóle nie kwestionował mojej decyzji. Zupełnie jakby równocześnie wpadł na tę samą myśl.

Dalej zajadaliśmy się kanapkami z jajkiem. Jak powiedziałem, nie staliśmy się weganami z dnia na dzień. Na razie powiedzieliśmy sobie tylko, że nie możemy jeść „Esther”. A więc wciąż jedliśmy jaja i se-

ry, trochę nawet żartowaliśmy, że to nie to samo co pożarcie świni. Nie znaliśmy też osobiście żadnych krów ani kurczaków, były dla nas zwykłymi zwierzętami rzeźnymi. Nie mieliśmy do nich emocjonalnego stosunku. Świniom za to poświęciliśmy mnóstwo uwagi – poszperaliśmy w internecie i dowiedzieliśmy się, że są bardzo mądre. A skoro już mowa o internecie, to kiedy człowiek szuka informacji na temat świń, trafia na opisy wstrząsających warunków, w jakich są hodowane. To właśnie umocniło naszą więź z Esther. Patrzyliśmy na bekon i widzieliśmy naszą dziewczynkę. Ale kiedy patrzyliśmy na burgera z wołowiny, nadal widzieliśmy burgera. Esther nagle znalazła się wśród zwierząt „równiejszych”, jeszcze nie dołączyli do niej inni mieszkańcy ферmy. To świetny przykład na to, jak my, ludzie, nauczyliśmy się manipulować faktami i jaki wybudowaliśmy wokół siebie mur.

* * *

Kiedy kilka dni później Derek i ja szukaliśmy na Netflixie czegoś do obejrzenia, naszą uwagę przykuł dokument pod tytułem *Vegucated*. Opowiada on o trojgu zadowolonych z życia mięsożernych nowojorkczykach, którzy na sześć tygodni przechodzą na dietę wegańską. Wcześniej wcale nie rozglądaliśmy

się za podobnymi filmami – sceny zabijania zwierząt są dla mnie nie do zniesienia – ale ten opisano jako niezbyt drastyczny.

Uwielbiam dowiadywać się nowych rzeczy. Przepadam za dokumentami. Fascynują mnie filmy o technice i historii, no i oczywiście przyrodnicze – chyba że akcja rozgrywa się w Afryce. Pięknie dziękuję za te wszystkie historie o drapieżnikach i ich ofiarach, typu „silniejszy zjada słabszego, bo taka jest naturalna kolej losu”. Zawsze kończą się sceną z zebrawą rozdieraną na strzępy przez lwa i chociaż rzeczywiście przyroda rządzi się swoimi prawami, nie znoszę na to patrzeć.

Gdy na ekranie naszego telewizora pojawiła się zapowiedź *Vegucated*, stwierdziłem jedynie, że to może być coś ciekawego. Derek nawet nie patrzył, co wybieram – typowe! Siedział z nosem w telefonie, czytając mejle. Kliknąłem więc i tak to się zaczęło. A kiedy Derek zobaczył, że nie jest to jeden z dokumentów, którymi zwykle go katowałem, na przykład o budowie airbusa A380 lub turbin na Morzu Północnym w pobliżu Holandii, nagle się zainteresował. Odłożył komórkę.

Zanim film dobiegł końca, obaj zaczęliśmy się zastanawiać nad swoim podejściem do mięsa. Potem

obejrzelśmy następne dokumenty. *Korporacyjna żywność* opowiadała o hodowli przemysłowej zwierząt w Ameryce. *Czarna ryba* – o trzymanyh w nieludzkich warunkach orkach, które z frustracji zabijały ludzi. Dowiedzieliśmy się bardzo wiele o tym, skąd pochodzi żywność i jak traktowane są zwierzęta. W tym systemie pełno jest okrucieństwa, nawet w obszarach, które wcześniej wydawały nam się w porządku.

Zawsze miałem się za wielbiciela zwierząt. A teraz byłem zły o to, co nam przez całe życie powtarzano, byłem zły, bo kazano nam wierzyć, że to „tylko zwierzęta hodowlane”. Pewnie moglibyśmy wcześniej poznać prawdę, gdybyśmy jej szukali. Ale nie wpadliśmy na to. Łatwiej było po prostu zaakceptować jedzenie mięsa i cieszyć się życiem.

Tamtego dnia coś się we mnie przełamało. Koniec z mięsem. Uznałem, że pora przejść na weganizm, nauczyć się jeść inne rzeczy.

Dobra, to nie do końca było tak. Chociaż bardzo chciałem rzucić mięso ze względów etycznych, miałem jeden poważny problem.

Nie cierpiałem warzyw.

Szczerze? Dalej ich nie cierpię.

Potrafiłem wyczuć plasterek cebuli w potrawie i tak długo w niej grzebać, aż się go pozbyłem. Niech

Bóg broni, żebym jakiś rozgryzł – cześć pieśni. Miałem zawsze wybitnie prostackie upodobania kulinarne. Zabieranie mnie do sztywniej restauracji było marnowaniem żywności – wolałem zwykłego burgera lub makaron. Czasami specjalnie jadłem wcześniej w domu, bo wiedziałem, że raczej nie przypadnie mi do gustu żadna pozycja z menu. Lepiej więc było nażreć się przed wyjściem do knajpy.

Po obejrzeniu dokumentu Derek spytał, czy moim zdaniem powinniśmy zostać weganami, a ja zacząłem pochrząkiwać z zakłopotaniem. Jako zaprzysięgły przeciwnik warzyw nie bardzo potrafiłem to sobie wyobrazić. Wiedziałem, co lubię, a czego nie. Bałem się jedzenia rzeczy, których nie znoszę, lub, co gorsza, próbowania zupełnie nowych produktów. Wszystko zresztą byłoby nowe, a nieznanie jedzenie budzi we mnie lęk. Zresztą cały ten weganizm wydawał mi się przerażający, nic tylko kuskus i komosa ryżowa. Czym, do licha, jest komosa i dlaczego miałbym ją jeść? Acai? Nawet nie wiedziałem, jak to się wymawia!

Wiedziałem za to, że nie chcę jeść zwierząt. Zaczęło do mnie również docierać, że kurczaki i krowy tak naprawdę nie różnią się od psów i kotów (oraz świń, rzecz jasna, które zdążyły już podbić nasze

serca). Teraz więc chodziło mi po głowie tylko jedno: „Skoro nie mogę jeść mięsa, to co będę jadł? Nie znoszę sałatek. Nie cierpię dziwnych jarzyn, a prawie wszystkie wydają mi się dziwaczne. Co pozostaje? Nasiona i orzechy? A może Derek któregoś dnia wróci do domu i zobaczy, że stałem się kanarkiem?”.

Oczywiście wcale nie powiedziałem tego na głos. Wręcz przeciwnie, stwierdziłem, że jasne, czemu nie. Nie chciałem być hamulcowym naszego duchowego rozwoju.

Wybrałem metodę małych kroków – najpierw ograniczyłem spożycie mięsa. Nie było ono już podstawą mojej diety. Jadłem więcej chleba z masłem, od czasu do czasu wcinałem jednak jakiegoś burgera. Nadal piłem też mleko. Próbowałem sam się przed sobą usprawiedliwiać i szło mi całkiem nieźle. Nigdy nie miałem z tym kłopotów.

ESTHER THE WONDER PIG

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy:
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

Książka została wydrukowana na papierze

Ecco Book Cream 60 g v. 2.0

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*
Opieka merytoryczna *Magdalena Korobkiewicz*
Korekta *Małgorzata Ruszkowska, Ewa Mościcka*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Piotr Korczyński*

ISBN 978-83-10-13119-5

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2017 r.
Druk: Edica Sp. z o.o., Poznań